

# Conan: Córa Lodowego Olbrzymba

Howard Robert



calibre 0.9.27

# CÓRA LODOWEGO OLBRZYMA

Na Murilowym rumaku, pełen ciekawości świata, dotarł Conan do położonego na wschodzie Turanu i jako najemny żołnierz wstąpił do służby w armii króla Yildiza. Niemalę przecież umiejętności wojenne wzbogacił tam o kunszt jazdy konnej i strzelania z łuku, a rozmaite misje pozwoliły mu poznać dziedziny tak egzotyczne jak Meru, Vendhya, Hyrkania i Khitai. Nieporozumienie z przełożonymi spowodowane, jak głosiły plotki, miłosnym temperamentem Conana, sprawiło, że po dwóch latach służby zdezerterował Cymmeryjczyk z armii turańskiej i powrócił w rodzinne strony. Wnet, wespół z grupą Aesirów, ruszył do Vanaheimu, by nieco obłuskać wrażych Vanirów...

Zamarł w oddali szcęk mieczów i toporów; umilkły wrzaski masakry; cisza legła na splamionym krwią śniegu. Zimne, wyblakłe słońce, które tak oślepiająco miotало swe promienie z lodowców i zaśnieżonych równin, teraz krzesало iskry z pogiętych pancerzy i połamanych brzeszczotów tam, gdzie leżeli zabici. Martwe dłonie wciąż zaciskały się na rękojeściach; okryte hełmami głowy, odrzucone w spazmie agonii, ponuro zadzierały rude i złociste brody, jakby w ostatnich modłach do Ymira Lodowego Olbrzyna, boga ludu wojowników.

Ponad zakrwawionymi zaspami i opancerzonymi ciałami poległych patrzyło na siebie dwóch mężów. Tylko oni poruszali się wśród wszechogarniającej martwoty. Mroźne niebo wisiało nad ich głowami, wokół rozsnuwała się bezgraniczna równina, u stóp mieli trupy.

Z wolna szli między nimi - jak duchy na spotkanie umówione wśród pobojuwiska martwego świata. Stanęli twarzą w twarz.

Byli ogromni, budowy krzepkiej jak tygrysy. Stracili tarcze, a ich pancerze były pogruchotane i wyszczerbione. Krew zastygła na zbrojach, czerwienily się ostrza mieczów. Rogate hełmy nosily ślady srogich ciosów. Pierwszy z wojowników bezbrody był i czarnogrzywy, włosy i broda drugiego czerwienily się jak krew na zalonym słońcem śniegu.

- Człecze - ozwał się ten drugi - powiedz, jak cię zwa, abym zaś mógł mym braciom w Vanaheimie opowiedzieć, kto ostatni ze zgrai Wulfhera padł pod mieczem Heimdula.

- Nie w Vanaheimie - warknął czarnowłosy wojownik - ale w Valhalli powiesz swym braciom, żeś spotkał Conana z Cimmerii!

Heimdul ryknął i skoczył, a jego miecz zakreślił śmiertelny łuk. Gdy świszczące ostrze grzmotnęło w hełm, pękając na miriady błękitnych iskier, Conan zachwiał

się i ujrzał przed oczami czerwone ogniki. Ale zataczając się, zadał całą siłą swych szerokich ramion potężne pchnięcie. Ostrze przeszło przez mosiężne łuski, kości i serce, a rudowłosy wojownik padł martwy do stóp Conana.

Cymmeryjczyk wyprostował się, wyswobadzając miecz i poczuł, że niespodziewanie ogarnia go słabość. Blask słońca na śniegu ranił oczy jak nóż, niebo zdało się nagle nikłe i dalekie. Odwrócił się od zdeptanego poboju, gdzie żółtobrodzi woje spoczywali wespół ze swymi rudowłosymi zabójcami w objęciach śmierci. Kilka zaledwie kroków uczynił, gdy pomroczył blask z zaśnieżonych pól. Ogarnęła go gwałtowna fala ślepoty; opadł w śnieg i wsparty na opancerzonym ramieniu próbował strząsnąć z oczu mgłę jak lew potrząsający grzywą.

Srebrzysty śmiech przebił spowijającą go zasłonę mroku i wzrok począł Conanowi wracać. Spojrzał w górę: coś niezwykłego, coś, czego nie potrafiłby umiejscowić ani nazwać, z całym się działo otoczeniem, a ziemia i niebo przybrały barwę osobliwą. Długo o tym nie myślał, przed nim bowiem, chwiejąc się na wietrze jak młoda brzoza, stała kobieta. Jej ciało, utoczone, zda się, z kości słoniowej, krył jeno welon z muślinu. Smukłe stopy bielsze były od śniegu, po którym stąpały. Oszołomionemu wojownikowi roześmiała się w twarz śmiechem słodszy niż szmer srebrzystych fontann, zatrutym wszelako jadem urągłej kpiny.

- Kim jesteś? - spytał Cymmeryjczyk. - I skąd przybywasz?

- Zali to ważne? - Głos, miłszy na pozór uchu niż dźwięk srebrnostrunnej harfy, miał w sobie coś okrutnego.

- Wezwij swych ludzi - rzekł, chwytając za miecz.

- Odeszły mnie siły, ale tanio żywota nie sprzedam. Widzę, żeś z Vanirów!

- Czyżbym ci to wyznała?

Raz jeszcze wzrok Conana powędrował ku jej rozwianym lokom, które wcześniej wydały mu się rude. Teraz spostrzegł, że ani rude nie były, ani lniane, mając w istocie cudowny kolor pośredni. Były jak złoto elfów: słońce rozświetlało je tak oślepiająco, że ledwie mógł na nie patrzeć. Również jej oczy nie były ani niebieskie, ani szare, ale zmienne, tańczyły w nich światła i smugi barw, których nie umiał nazwać. Śmiały się jej pełne rubinowe wargi i od smukłych stóp po promienną burzę włosów jej alabastrowe ciało doskonalsze było niż marzenie bogów. Krew zatętniła w skroniach wojownika.

- Nie wiem - ozwał się po chwili - czyś moim wrogiem z Vanaheimu, czy sprzymierzeńcem z Asgardu. Wielem wędrował, ale nie spotkałem niewiasty równej ci urodą. Oślepia mnie jasność twych splotów... Między najpiękniejszymi córami Aesirów nie widziałem takich włosów. Na Ymira...

- Kimże jesteś, że się klniesz na Ymira - parsknęła pogardliwie. - Cóż wiesz o bogach lodu i śniegu ty, który szukając przygód między obcymi ludami, przybyłeś z Południa?!

- Na mroczne bóstwa mego narodu! - wrzasnął gniewnie. - Chociem nie ze złotowłosych Aesirów, nie masz bieglejszych ode mnie we władaniu mieczem. Dziś widziałem śmierć osiemdziesięciu mężów i tylko ja jeden uniosłem życie z pola, na którym zbóje Wulfhera spotkali się z wilkami Bragiego. Powiedz, niewiasto, widziałaś błyski oręża na śniegu albo zbrojnych kroczących wśród lodów?

- Widziałam szron łyskający w słońcu - odrzekła. Słyszałam szepty wiatru nad wiecznymi śniegami.

Z westchnieniem potrząsnął głową.

- Niord winien był się z nami połączyć, nim rozgorzała bitwa. Lękam się, że wpadł ze swym oddziałem w pułapkę. Wulfher i jego woje leżą martwi... Myślałem, że nie ma żadnego sioła na wiele mil wokół, bo wojna rzuciła nas daleko, aleś przecie naga i bosa nie mogła po tych śniegach z daleka przybiec. Prowadź tedy do swego plemienia, jeśliś z Asgardu, słaby bowiem jestem z ciosów i trudów walki.

- Me sioło dalej jest, niż zdołasz dojść, Conanie z Cimmerii - roześmiała się kpiąco.

Rozwarła ramiona i zawirowała przed nim z głową przechyloną zalotnie i skrzącymi się oczyma, na pół ukrytymi pod długimi jedwabistymi rzęsami.

- Powiedz, człowieku, czyż nie jestem piękna?

- Jak poranek, rozświełający śniegi pierwszym brzaskiem - wymamrotał, a oczy rozjarzyły mu się jak wilkowi.

- Czemu tedy nie powstaniesz i nie podążysz za mną? Cóż wart krzepki wojownik, który przede mną pada? - zanuciła z przyprawiającą o utratę zmysłów kpiną. Legnij i zdychaj w śniegu jak tamci głupcy, Conanie czarnowłosa. Nie zdołasz pójść tam, gdzie poprowadzę.

Z przekleństwem na ustach i ogniem w oczach porwał się Conan na nogi, a jego pokrytą bliznami twarz wykrzywił grymas. Wściekłość paliła mu duszę, ale silniejsze było pożądanie - tętniło w skroniach i przyspieszało krążenie krwi w żyłach. Namiętność silniejsza niż cielesna męka ogarnęła całą jego istotę, niebo poczerwieniało w oczach. Szaleństwo, które go omroczyło, zmiotło pamięć o zmęczeniu i słabości.

Nie rzekł ni słowa, gdy zasadziwszy za pas swój zakrwawiony miecz, rzucił się na nią rozwierając palce, by pochwycić delikatne ciało.

Odskoczyła z przenikliwym chichotem i poczęła umykać, oglądając się przez

ramię i nie przestając się śmiać. Z głuchym pomrukiem Conan popędził za nią. Zapomniał o walce, o pancernych wojach skąpanych we krwi, o Niordzie i rozbójnikach, którzy nie dotarli na pole bitwy. Myślał tylko o smukłej białej postaci, która zdawała się lecieć raczej niż biec. Pościg wiódł przez oślepiająco białą równinę. Zdeptane, krwawe pole zostało daleko za nimi, lecz Conan wciąż biegł z właściwą swemu ludowi cichą nieustępliwością. Jego okryte żelazem stopy przebiły zmrożoną powłokę: osunął się w głębokie zasy i brnął przez nie dzięki swej zwierzęcej sile. Ale dziewczyna tańczyła na śniegu jak piórko unoszące się nad wodą; jej nagie stopy prawie nie zostawiały śladów na szronie pokrywającym lodowy płaszcz. Mimo ognia płonącego w żyłach chłód przeniknął przez zbroję i podbitą futrem tunikę wojownika - uciekinierka jednak, w swym zwiewnym muślinowym welonie, biegła tak lekko i wesoło, jakby tańczyła wśród różanych i palmowych ogrodów Poitain. Biegła dalej i dalej, a Conan podążał za nią.

Najstraszniejsze przekleństwa spływały ze spienionych warg Cymmeryjczyka, gorączkowo pulsowały spęczniałe żyły na jego skroniach, zgrzytały zęby.

- Nie ujdiesz mi! - ryknął. - Zaprowadź mnie w pułapkę, a stos głów twych współplemieńców usypię ci u stóp! Ukryj się, a góry rozbiję, by cię znaleźć! Do Piekieł za tobą pójdę!

Grymas wściekłości wykrzywił mu twarz, gdy usłyszał w odpowiedzi ten sam doprowadzający do szału śmiech. Coraz dalej wiodła go w pustkowie. Mijały godziny,

słońce poczynało chylić się ku horyzontowi, zmieniał się krajobraz. Rozległe równiny ustąpiły miejsca niewysokim wzgórzom, maszerującym, zda się, coraz wyżej w nierównym szyku. Dalej ku północy dostrzegł Conan góry olbrzymie, których wieczne śniegi skrzyły się błękitnie i różowo, skąpane w promieniach krwawo zachodzącego słońca. Jak proporzec rozwijały się ku niebu - lodowe ostrza płonące zmiennymi kolorami, coraz większe i jaśniejsze. A niebo pełne było osobliwych świateł i błysków. I śnieg lśnił niesamowicie: to mroźnym błękitem, to lodową purpurą, to znów zimnym srebrem. Przez migoczącą magiczną krainę podążał Conan, a jedyną rzeczywistością w tym krystalicznym labiryncie była tańcząca na skrzącym się śniegu biała sylwetka - wciąż poza jego zasięgiem.

Nie dziwiła go niezwykłość tego wszystkiego - nawet wtedy, gdy dwóch gigantycznych mężów przegrodziło mu drogę. Łuski ich pancerzy bieleły się szronem, hełmy i topory pokrywał lód. Włosy przysypane mieli śniegiem, brody pełne lodowych sopli, a oczy tak zimne jak światła na firmamencie.

- Braciszku! - krzyknęła dziewczyna, wirując między nimi. - Patrzcie, kto

nadchodzi! Przywiodłam mam człowieka na rzeź! Wyrwicie mu serce, byśmy, póki gorące, złożyli je na ołtarzu naszego ojca!

Giganci odpowiedzieli rykiem jakby gór lodowych szorujących po zmrożonym brzegu. Unieśli swe błyszczące w świetle gwiazd topory, gdy runął na nich rozwścieczony Cymmeryjczyk. Oszronione ostrze załśniło przed jego oczyma, oślepiając go na mgnienie, ale odpowiedział straszliwym pchnięciem, które przebiło nogę przeciwnika na wysokości kolana. Z jękiem osunął się pokonany na ziemię, lecz w tejże chwili obalił Conana w śnieg cios drugiego z olbrzymów. Zbroja ocaliła życie wojownika z Cimmerii, choć ramię zmartwiało. I ujrzał Conan, jak piętrzy się nad nim ogromna, rzekłbyś wykowana z lodu postać, groźnie rysująca się na tle lśniącego zimnym blaskiem nieba. Topór spadł - i przebił śnieg, by pograżyć się w zmarzniętej ziemi, gdy Conan rzucił się w bok i jednym susem powstał na nogi. Gigant ryknął i wyswobodził topór, nim to jednak uczynił, zaśpiewało ostrze Cymmeryjczyka. Ugięły się kolana pod olbrzymem; powoli opadł w śnieg, który tryskająca z na pół przerąbanej szyi krew jęła barwić na purpurowo.

Conan rozejrzał się dokoła i dostrzegł dziewczynę, jak stojąc niedaleko patrzy rozszerzonymi z przerażenia oczyma, z których zniknęła cała kpina.

Wrzasnął groźnie, a krople krwi kapały z miecza, którym potrząsał z pasją:

- Przywołaj resztę swych braci! - krzychał. - Wilkom rzucę ich serca na pożarcie! Nie ujdiesz! Przerażona odwróciła się i poczęła uciekać. Już się nie śmiała, nie przedrzeźniała go parz ramię. Biegła, jakby szło o życie. Choć wysilał mięśnie i ścięgna, aż wydawało się, że pękną mu skronie, a śnieg poczerwieniał przed jego oczyma, była coraz dalej, malejąc w zaczarowanym świetle nieba - nie większa zdawała się od dziecka, potem białego płomyka tańczącego na śniegu, a wreszcie stała się jeno niewyraźnym punktem w oddali. Lecz zaciskając zęby, aż krew jęła płynąć z dziąseł, Conan pędził dalej i ujrzał w końcu, że plamka znów staje się tańczącym płomieniem, płomień - figurką wielkości dziecka, i oto nie dalej była niż sto kroków przed nim: wolno, piędź po piędzi, topniała dzieląca ich przestrzeń.

Biegła z coraz większym trudem; usłyszał jej przyspieszony oddech i dostrzegł błysk przerażenia w spojrzeniu, które rzuciła przez białe ramię. Posępna wytrwałość barbarzyńcy miała mu przynieść zwycięstwo...

Ognie Piekieł, które tak zręcznie udało się jej zażec, rozgorzały w dzikiej duszy Conana nieposkromionym płomieniem. I z rykiem nieludzkim dopadł jej wreszcie, a ona, krzyżąc przejmująco, wyciągnęła ramiona w rozpaczliwym geście daremnej obrony. Rzucił w śnieg swój miecz i zmiażdżył ją w uścisku. Smukłe ciało wygięło się w łuk, gdy z szaleńczą desperacją wiała się w jego żelaznych

objęciach. Złote włosy smagały oblicze Cymmeryjczyka, oślepiając go swą jasnością, ale jej bliskość potęgowała tylko obłąd Conana. Jego krzepkie palce pograżyły się w ciele gładkim i chłodnym: zdało mu się, że obejmuje kobietę nie z krwi uczynioną i kości, lecz z płonącego lodu.

Wykręcała głowę, pragnąc uniknąć żarłocznych pocałunków, które miażdżyły jej usta.

- Jesteś zimna jak śnieg - mamrotał nieprzytomnie. - Ogrzeję cię ogniem mej własnej krwi.

Ostatnim rozpaczliwym skrętem wyslizgnęła się z jego ramion i odskoczyła do tyłu, pozostawiając mu w garści swą muślinową szatę. Jej złote włosy w dzikim były nieładzie, ciężko falowało białe łono, a w cudnych oczach tało się przerażenie. I gdy stała tak naga na śniegu, raz jeszcze oszołomiła Conana jej nieziemska uroda.

A ona wyrzuciła ramiona ku światłom lśniącym na firmamencie i krzyknęła głosem, który już na zawsze miał pozostać w duszy Cymmeryjczyka:

- Ymirze, mój ojciec, ratuj!

Z rozwartymi ramionami skoczył wojownik, by ją pochwycić, gdy z hukiem jakby pękającej góry lodowej całe niebo roziskrzyło się zimnym płomieniem. Błękitny, chłodny ogień, tak oślepiający, że musiał Cymmeryjczyk zakryć oczy, spowił nagle alabastrowe ciało dziewczyny. Przez chwilę krótką jak mgnienie śnieżne wzgórze i niebiosą kąpały się w powodzi białego światła, błękitnych strzałach lodowego blasku i mroźnych purpurowych ogniach.

Potem Conan zachwiał się i krzyknął: dziewczyna zniknęła.

Wysoko nad jego głową magiczne światła szalały w diabelskim tańcu. Przez dalekie góry przetoczył się grom, jak tytaniczny rydwan bojowy ciągniony przez olbrzymie rumaki, których gniewne podkowy krzeszą iskry z lodowego gościńca.

A potem zorza, białe wzgórze i płonące niebo rozkołysały się w oczach Conana. Tysiąc ognistych kul strzeliło kaskadami iskier, a nieboskłon stał się kołem gigantycznym, które, obracając się, rozsiewało deszcz gwiazd.

Ziemia pod stopami uniosła się na kształt fali i Cymmeryjczyk opadł w śnieg. I leżał bez ruchu...

W mrocznym, chłodnym wszechświecie, którego słońce szczęło przed eonami, poczuł Conan życie - obce i nieoczekiwane. Trzęsienie ziemi dźwżyło go w objęciach, szarpało bezlitośnie, odzierając, zda się, ze skóry dłonie i stopy, aż wrzasnął z bólu i złości, próbując porwać za miecz.

- Przytomnieje, Horso - usłyszał głos. - Spiesz się, trza nam przegnać mróz z jego członków, jeśli ma jeszcze kiedy ruszyć do boju.

- Nie chce rozewrzeć lewej dłoni - mruknął drugi. - Coś w niej ścisną.

Conan otworzył oczy i ujrzał pochylone nad sobą brodate twarze. Otaczali go rośli złotowłosi woje w pancerzach i futrach.

- Conanie! - zakrzyknął jeden z nich. - Żyjesz!

- Na Croma, Niordzie - stęknął Cymmeryjczyk - żyję, czyśmy wszyscy w Valhalli?

- Żyjemy - odparł Asgardczyk, zajęty na pół odmrożonymi stopami Conana. - Połączylibyśmy się z wami przed bitwą, gdybyśmy nie musieli przerąbywać się przez zasadzkę. Ciała dopiero zaczynały stygnąć, kiedyśmy przyciągnęli na pole. Nie było cię wśród trupów, tedy poszliśmy twym śladem. Na Ymira, Conanie, po coś się zapuszczał w pustynie Północy? Długo szliśmy za tobą i - na Ymira! - nigdy byśmy cię nie znaleźli, gdyby zamieć przysypała twe ślady.

- Nie klnij się zbyt często na Ymira - szepnął jeden z wojowników. - Jego to dziedzina: legendy powiadają, że między tamtymi włada szczytami.

- Widziałem niewiastę - ozwał się Conan niewyraźnie. - Spotkaliśmy się z ludźmi Bragiego na równinie. Nie wiem, jak długo walczyliśmy... Tylko ja przeżyłem. Słaby byłem i zamroczony, a świat jakby ktoś zaczarował dopiero teraz wszystko zdaje się znajome i prawdziwe. Pojawiła się ta niewiasta i zaczęła się ze mnie naigrawać. Piękna była jak zmrożony ogień Piekieł. Dziwne napadło mnie szaleństwo, gdym na nią patrzył, i zapomniałem o całym świecie. Ruszyłem za nią... Czyście widzieli jej ślady? Albo olbrzymów w lodowych zbrojach, których usiekłem?

Niord pokręcił głową.

- Tylko twoje ślady widzieliśmy na śniegu, Conanie.

- Tedy może jestem szalony - odrzekł Cymmeryjczyk nieprzytomnie. - A przecie nie jesteście prawdziwi niż ta złotowłosa dziewczka, która naga czmychała przede mną po śniegu. Wszak z mych własnych rąk zniknęła w lodowym płomieniu!

- Bredzi - wyszeptał wojownik.

- Nieprawda! - krzyknął starszy mąż o dzikich obłądnych oczach. - Atali to była, córka Ymira Lodowego Olbrzyma. Przybywa na pobojojiska i ukazuje się umierającym. Ja sam, otrokiem będąc, widziałem ją, gdym na pół martwy leżał na krwawym polu Wolfraven. Patrzyłem, jak kroczy wśród trupów, a ciało jej lśni niczym kość słoniowa i złoty włosy sieją w świetle księżyca blask oślepiający. Leżałem i wylem jak zdychający pies, bom nie miał siły czołgać się za nią. Wabi mężów z pół bitewnych w śnieżną pustynię, aby mogli ich ubić jej bracia, lodowi giganci, którzy dymiące serca ofiar kładą na ołtarzu Ymira. Powtarzam: Cymmeryjczyk widział Atali, córę Lodowego Olbrzyma!



- Ba! - mruknął Horsa. - Duszę starego Gorma zranił w młodości cios, który rozszczepił mu czaszkę. Conan majaczył po srogim boju: patrzajcie, jak poszczerbiony jest jego szłom. Każdy z tych ciosów mógł zmącić mu rozum. Za majakiem podążył w pustynię. Jest z Południa, cóż może wiedzieć o Atali?

- Może gadasz prawdę - wymamrotał Conan. - Na Croma, niesamowite to było... Przerwał i zerknął na przedmiot zwisający z zaciśniętej pięści. Gdy podniósł go do góry, w ciszy nagle zapadłej zagapili się woje na muślinowy welon utkany z nici tak cienkiej, że nie mogła jej uprząć żadna ziemską kądziel.

Przełożył: Stanisław Czaja

---

**e-Book**version by[ **ch@to** ]